

AGATA POLTE

ZAWSZE

CHODZIŁO

OCIEBIE



Copyright ©

Agata Polte

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

All rights reserved

Redakcja:

Kamila Reclaw

Korekta:

Hanna Kwaśna

Karolina Piekarska

Maria Klimek

Estera Łowczynowska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki i grafik:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-487-7

AGATA POLTE

**ZAWSZE
CHODZIŁO
O CIEBIE**

*Wszystkim dziewczynom, które boją się, że są niewystarczające.
Jesteście doskonałe dokładnie takie, jakie jesteście.
Nie dajcie sobie wmówić inaczej.*

ROZDZIAŁ 1

Jeden z plusów tego, że moja matka pracuje w fabryce lodów?

Lody. Całe. Tony. Lodów.

Jeden z minusów?

Te lody nie idą w cycki.

– Weź się pospiesz, Eve! – krzyczę, wsuwając kolejną łyżkę jagodowego sorbetu między wargi. – W mojej szafie nie ma przejścia do Narnii, dasz radę coś znaleźć!

– Ale chciałabym coś ubieralnego – słyszę głos z piętra. – Bo wszystkie twoje kiecki są mi za ciasne na górze.

Trzeba było się nie ubrudzić tuż przed wyjściem i nie miałybyś problemu.

– Nie moja wina, że masz tam dwie piłki do kosza – mamrocę z pełnymi ustami.

– Słyszałam to!

Uśmiecham się, a potem kończę jeść, akurat w momencie, gdy Eve schodzi po schodach w luźnym crop topie i jednej z moich spódnic. Jędrza wygląda w niej lepiej ode mnie.

– Ale żałość – stwierdzam wrednie.

Wystawia mi język.

– Nie moja wina, że ja dopinam się w twoją spódnicę bez problemu.

Ja też się w nią dopinam. Po prostu muszę się bardzo postarać, żeby przeszła przez biodra.

– Tylko dlatego, że w ogóle nie masz tyłka – odgryzam się.
– A teraz chodź, zanim się rozmyślę i jednak nie pożyczę ci ciuchów. I tak jesteście spóźnione.

Eve zarzuca jasnymi włosami, łapie torebkę z blatu kuchennego i szeroko się uśmiecha.

– O to chodzi, Mae. Niech faceci trochę poczekać.

Przewracam oczami, po czym chwytam własną torebkę, przewieszam ją przez ramię i poprawiam swoją granatową sukienkę.

– Nadal twierdzę, że powinnaś ją podciąć – rzuca przez ramię Eve, kierując się do wyjścia. – Przecież prawie zasłania ci kolana.

– No zbrodnia.

Posyła mi psotne spojrzenie.

– No tak. Ukrywanie twoich długich nóg to zbrodnia.

Parskam lekko, jednak nie odpowiadam, bo docieramy już do drzwi kuchennych, które nagle się otwierają. Wparowuje przez nie mama obładowana zakupami. Eve od razu łapie od niej dwie torby, ja biorę kolejną i wracamy do blatu.

– Jasna cholera, kiedyś się wykończę głupimi zakupami – oznajmia mama.

Telefon przyjaciółki zaczyna dzwonić, przez co Eve kiwa do mnie nagłaco. Całuję więc mamę w policzek, a później biegnę w stronę wyjścia.

– Czekaj, Maeve! – woła za mną. – Muszę z tobą pogadać!

– Jutro, mamó – odpowiadam, ściągając jeszcze skórzaną kurtkę z wieszaka. – Jesteśmy spóźnione.

– Ale to ważne, przed szkołą powiedziałaś, że...

– Przepraszam – mówię, wycofując się do drzwi. – To urodziny Eve, możemy pogadać rano?

Mama wzdycha.

– Ale na pewno. Bo jeśli nie, to czeka cię nieprzyjemna niespodzianka.

Unoszę brwi.

– Jak bardzo nieprzyjemna?

– Maeve, do cholery, rusz się! Jake pewnie pije już bez nas!
– krzyczy Eve.

Mama robi wymowną minę, a ja staram się wyglądać jak najbardziej niewinnie.

– Będę prowadzić, nie tknę alkoholu – zapewniam.

– Chociaż raz – mamrocze. – I uważaj na moje auto.

Posyłam jej buziaka, a potem zbiegam po schodach do garażu. Wkładam kurtkę, bo wieczór jest dziś zadziwiająco chłodny, po czym poprawiam czarne włosy opadające swobodnie na plecy. Uwielbiam, kiedy Eve podkręca mi je w delikatne fale. Jej kosmyki kręcą się naturalnie i wygląda zawsze obłudnie, chociaż narzeka nieustannie na to, ile musi je układać, by przypominać człowieka. Już kilka lat temu, gdy zaczęłyśmy się przyjaźnić, doszłyśmy do wniosku, że chętnie byśmy się zamieniły ciałami, bo ta druga ma akurat to, czego chce ta pierwsza, ale cóż, nie wyszło. Okazało się, że jeśli obetnie się włosy, nie da się ich przykleić do innej głowy. To była niezła nauuczka. Dobrze, że obie chwyciłyśmy nożyczki w tym samym czasie. Siedziałyśmy w tym razem i od tamtej chwili stałyśmy się sobie jeszcze bliższe. Najwyraźniej głupota łączy.

– Wyszadysz mnie u Deana, dobra? – pyta Eve.

Wsiadam właśnie za kierownicę starego aveo i spoglądam pytająco na przyjaciółkę.

– Napisał dopiero teraz, że ma niespodziankę – wyjaśnia.

– Zdzira – burczę pod nosem, a później wyjeżdżam przez otwierającą się właśnie bramę garażową. – Miałyśmy pójść razem. Tylko dlatego nie jadę z Jakiem.

– To moje urodziny, Mae, no i Dean mnie zaskoczył – mówi Eve. – Wybaczysz? Napiszę do twojego faceta, żeby czekał przy wejściu, dobra?

– Nie kłopotz się, znajdę go. – Wjeżdżam na główną i przyspieszam, zerkając w lusterka. Dawno nie siedziałam za kółkiem. Odkąd zaczęłam spotykać się z Jakiem, zwykle jestem pa-

sażerem. Mama zresztą też rzadko jeździ, bo do pracy podrzuca ją zawsze jej przyjaciółka. – A ty się baw dobrze. I mam nadzieję, że dotrzecie jednak na imprezę.

Kątem oka widzę, że Eve uśmiecha się krzywo.

– Zobaczymy, co to za niespodzianka.

Wzdycham. Pewnie dostanę dziś szczegółowe sprawozdanie z tego, co dokładnie przygotował Dean. Ta dziewczyna uwielbia dzielić się pikantnymi detalami. Nie przeszkadza mi to, póki nie zaczyna jęczeć, bym sama także jej takie zdradzała. Kocham ją jak siostrę, ale mam opory przed mówieniem na głos o najbardziej intymnych sprawach. No i z Jakiem... w sumie nie ma nawet o czym jeszcze powiadać.

Eve wyskakuje z samochodu, kiedy piętnaście minut później zatrzymuję się przed domem Deana. Niewielki, parterowy budynek, któremu przydałoby się malowanie, nie wyróżnia się w dzielnicy zupełnie niczym. No, może tylko wielkim, czarnym motocyklem stojącym na podjeździe. Oczy Eve rozbłyskują i przyjaciółka gwizdże przeciągle. Jej facet w końcu spełnił te swoje groźby, że kupi dwukołowca. Gdybym się na nich znała, może byłabym pod wrażeniem.

– Nawet nie wsiadaj na to bez kasku! – rzucam za Eve po uchyleniu szyby. – Nie będę potem łazić na cmentarz. Groby mnie przerażają.

Wystawia mi język, po czym przechodzi z gracją chodnikiem w kierunku chłopaka stojącego przy maszynie. Ja natomiast wycofuję auto z westchnieniem, zawracam, a następnie ruszam ulicą. Nieco się denerwuję, bo nie lubię chodzić na imprezy bez Eve. Tyle że ma dziś urodziny, dlatego powinnam jej wybaczyć to zniknięcie, poza tym Jake już pewnie czeka na miejscu. Chodzi jednak o to, że mogłam jechać z nim. I bawić się lepiej, bo po alkoholu zawsze mam świetny humor. Rozluźniam się. Przystaję tyle analizować. Czasami potem tego żałuję, ale w trakcie imprezy jest ekstra.

Dziesięć minut później zbliżam się do domu Coopera, który urządza tę domówkę. Samochody zaparkowane po obu stronach drogi sprawiają, że się krzywię. Właśnie dlatego nie powinnam była przyjeżdżać własnym. Już zaczynam się przejmować, że ktoś zarysuje auto mamy i będę mieć kłopoty. Chociaż... skoro tak rzadko nim ostatnio jeździ, może nie zauważy.

Szukam miejsca przy chodniku, by w miarę wygodnie zaparkować. Muzyka dobiegająca z domu jest doskonale słyszalna, ale nie huczy jak zwykle w całej okolicy. Cooper widocznie się jeszcze nie rozkręcił. W końcu zauważam wolną przestrzeń, jednak wyprzedza mnie jakiś samochód i zajmuje ją płynnie, kompletnie ignorując, że już zasygnalizowałam manewr. Gdy z auta wysiada postawny blondyn, który uśmiecha się z pobłażaniem, wystawiam mu środkowy palec, a w następnej chwili hamuję ostro, bo przed maską pojawia mi się nagle jakaś postać. Nie jadę szybko, więc chevrolet zatrzymuje się praktycznie od razu, mimo to serce wali mi z przerażenia.

Potem strach zmienia się we wściekłość, ponieważ widzę, kim jest idiota, który prawie wlaźł mi pod koła. Przełączam szybko bieg na parkowanie i wyskakuję z samochodu.

– Pojechało cię, Campbell?! – krzyczę.

Brazowowłosey, wysoki chłopak zatrzymuje się na jezdni i odwraca w moją stronę.

– Mnie? To ty próbowałaś mnie właśnie zabić.

Zaciskam usta.

– Gdybym chciała cię zabić, tobym nie próbowała, tylko po prostu to zrobiła – warczę. – I wyświadczyła światu cholerną przysługę!

Shane zaczyna się śmiać.

– Chyba doprowadziła do największej tragedii. – Prycham na jego słowa, a on dodaje: – Za bardzo byś za mną tęskniła, Winters.

Nie reaguję, tylko wracam do auta i przejeżdżam jeszcze kawalek, by znaleźć niedaleko kolejne miejsce do zaparkowania. Campbell odpala w tym czasie fajkę i obserwuje mnie ciągle tymi brązowymi oczami, a kiedy zahaczam kołem o krawężnik, parska tak głośno, że słyszę go mimo pracującego silnika i muzyki płynącej z domu.

Co za dupek.

Na swoją obronę mam to, że trzęsące się ręce i nogi naprawdę mi w tej chwili nie pomagają. Chłopak mnie wystraszył. Pojawił się znikąd. Serio się bałam, że coś mu zrobię. Bywam nerwowa za kierownicą, dlatego jedna nieprzyjemna sytuacja potrafi wyprowadzić mnie z równowagi na długie minuty. Chyba nie powinnam mieć prawka. Może czas przerzucić się na rower?

Ostatecznie parkuję, po czym wysiadam, łapię torebkę i próbuję opanować drżenie dłoni. Posyłam Shane'owi mrożące krew w żyłach spojrzenie – mam je opanowane, odkąd w przedszkolu wepchnął mnie w błoto i śmiał się razem z resztą dzieciaków z moich pisków – a potem ruszam z uniesioną głową w kierunku drzwi. Mogłam jechać z Jakim.

– Zamknęłaś samochód, prawda? – rzuca Shane, doganiając mnie.

– Oczywiście, że tak – parskam.

A później zaciskam zęby, odwracam się na pięcie i wracam zamknąć auto.

Rower. Muszę sobie, kurwa, kupić rower.

Shane zaczyna się śmiać pod nosem, a ja biorę wdech i staram się uspokoić. Tyle że ten dźwięk tak mnie irytuje, że to naprawdę trudne. Nie cierpię jego śmiechu. Ani tego durnego błysku w oku, który oznacza, że za moment znowu spróbuje z czymś wyskoczyć. Ani głębokiego głosu, którym zawsze ze mnie żartuje.

– Ty się trzęsiesz – mówi ze zdziwieniem, spoglądając na moje ręce.

– Bo jakiś dupek prawie wpadł mi pod maskę – odpowiadam chłodno. – A jestem zbyt zajębista na więzienie.

Zamykam samochód, po czym przystaję przy nim na parę sekund. Muszę się uspokoić.

Wdech i wydech, Mae.

Campbell patrzy na mnie przez chwilę, a potem sięga do kieszeni i wyciąga w moją stronę paczkę. Bez słowa biorę papierosa, a po nim zapalniczkę i już zaciągam się dymem. Nie, zupełnie mnie to nie uspokaja, w dodatku rzuciłam to gównu kilka dni temu, ale cóż, mówi się trudno.

– Nie chciałem cię wystraszyć, Winters – zapewnia cicho Shane.

Wydmuchuję dym prosto w jego twarz i zaciągam się ponownie. Mmm, teraz trochę lepiej. Spływa na mnie więcej spokoju. Do czasu, aż mama się dowie i zabije mnie za powrót do fajek. W końcu miałyśmy umowę: ja rzucam, ona ogranicza kawę. Pije ją nałogowo, a lekarz zabronił jej w ogóle patrzeć w stronę kofeiny częściej niż raz dziennie. Mama patrzy około sześciu.

– Mhm, pewnie – odpieram kpiąco.

Shane wzdycha. Zerkam na jego mocną szczękę i zastanawiam się, czy gdybym go teraz uderzyła, znowu pojawiłby się na niej taki śliczny siniak jak wtedy, kiedy w szóstej klasie zdzieliłam go z całej siły, bo naśmiewał się z mojego plecaka. A to był świetny plecak z Kim Kolwiek; każda jedenastolatka mi zazdrościła.

– Przecież musimy utrzymywać przyjazne stosunki, skoro będziemy współlokatorami – odzywa się w końcu Shane.

Mrugam raz. Później drugi. Spoglądam na chłopaka przez moment w ciszy, a na jego twarzy pojawia się pełen zadowolenia uśmiešek.

Właśnie o tym mówię. Właśnie tego nie cierpię. I już mam złe przeczucia.

– Och, nic nie wiesz? – pyta.

– O czym nie wiem? Co ty gadasz?

Krzyżuje ręce na szerokiej klatce piersiowej. Sukinsyn jest umięśniony, w dodatku szybki i zwinny, więc mógłby mnie powstrzymać, nim udałoby mi się go uderzyć. A za ten wredny uśmiech mam na to jeszcze większą ochotę, bo czuję, że to, co powie, zupełnie mi się nie spodoba.

– Twoja mama zaproponowała mojej, żebyśmy się do was wprowadzili – wyjaśnia Shane, obserwując moją reakcję. – Macie duży dom, twoja siostra już z wami nie mieszka, czyli jest miejsce. A remont naszego mieszkania zajmie sporo czasu.

Kręcę głową.

Nie. Po prostu nie.

– Trzeba było nie wywoływać pożaru – burczę pod nosem.

Słaba sprawa, swoją drogą. Jakiś tydzień temu w bliźniaku, w którym Shane mieszkał z matką, wybuchł pożar. Nikogo nie było w środku, a sąsiedzi z drugiej części domu też wyjechali, dlatego zanim ktokolwiek się skapnął, ogień hulał w najlepsze. W ciągu jednego dnia Campbellowie i Johnsonowie stracili właściwie wszystko, ponieważ spłonął prawie cały budynek, a to, co ocalało, zostało zniszczone w trakcie akcji straży. Ponoć coś było nie tak z instalacją elektryczną. Jedna iskra i bum.

– Ja go nie wywołałem – rzuca Shane.

– Mhm, jestem pewna, że policja jednak stwierdzi inaczej – odgryzam się, a potem zaciągam ponownie papierosem. W piersi czuję nieprzyjemne klucie. To dlatego mama chciała ze mną dzisiaj tak pilnie porozmawiać? Naprawdę zrobiłaby mi coś takiego? Przyjaźnią się z Joane Campbell od lat, razem pracują, no ale bez przesady. Przecież są hotele. Lokale zastępcze. Cokolwiek, tylko nie nasz dom. – Poza tym most to też całkiem niezła miejscówka jak dla ciebie – dodaję.

Shane się śmieje.

– Milusia jak zawsze. – Puszczam do mnie oko. – To będzie naprawdę super kilka tygodni. Czuję, że ty i ja staniemy się nierozłączni.

Rzucam peta na ziemię i przydeptuję butem.

– Pewnie. Zakopię cię w ogródku, żeby mieć zawsze przy sobie.

– Wiedziałem, że masz do mnie słabość.

Bez słowa sięgam do wewnętrznej kieszeni jego kurtki i wyjmuję paczkę fajek, po czym odpalam drugiego papierosa. Shane próbuje powstrzymać kolejne parsknięcie, jednak mu się to nie udaje. Gdy jego klatka piersiowa trzęsie się nieznacznie z rozbawienia, jeszcze bardziej mam ochotę mu przyłożyć. A kiedy dociera do mnie zapach jego wody kolońskiej, który kojarzy mi się tylko z akcją z zeszłego tygodnia – wpadłam na niego w stołówce i oblałam się sokiem, co, jestem pewna, nie zdarzyło się przypadkiem, tylko to zaplanował – już prawie unoszę dłonie.

– Będziemy sobie urządzać nocowania, pleść warkocze przyjaźni i podkraść w nocy jedzenie... – wymienia z szerokim uśmiechem chłopak.

– Jesteś nienormalny – stwierdzam.

Nadal nie wierzę, że to się dzieje, dlatego pozostaję taka spokojna. Przecież on jedynie próbuje ponownie wyprowadzić mnie z równowagi. Nic więcej.

Tak czy siak muszę jak najszybciej zadzwonić do matki, by się upewnić.

– A ty jesteś tak słodko nieświadoma, Winters. To takie zabawne.

– Ty... po prostu... Nie. Nie mów do mnie – mamrocę.

Następnie potrząsam głową, gaszę papierosa i ruszam szybko chodnikiem, wyciągając telefon z torebki. Matka będzie mi się gęsto tłumaczyć.

– Do zobaczenia jutro w domu, współlokatoroko! – krzyczy za mną Shane.

Chyba będę potrzebować całej paczki fajek, jeśli to okaże się prawdą.